

BROSZKIEWICZ jako autor sztuki o Koperniku nie miał zamiaru ilustrować historii ani konstruować biografii gloryfikującej. Zamiast świętecznego i statycznego portretu geniusza, rozwinął w sztuce dramat człowieka stojącego pośrodku dużych i małych spraw tego świata, człowieka zawieszonoego ostatkiem dni swych między życiem a śmiercią, pełnego troski i niepokoju, nie wolnego od uczucia lęku, które jest przynależne każdej istocie ludzkiej.

Z dramatem człowieka ściśle zespolił dramat uczonego. Kopernik Broszkiewicza ma przeciwko sobie cały świat, którego cząstkę sam stanowi. Na sam przód ów bezlitosny bieg czasu, który napędza rozmyślania o śmierci i w równej mierze zabija wolę działania.

Następnie owo grzęzawisko spraw drobnych, nieważnych, nieistotnych, choć przecież ludzkich — lekarskich powinności wobec pacjentów, obowiązków względem rodziny, względem Anny Sohilling, wobec służby kanonicznej — obowiązków często ze sobą kolidujących, które spełniać trzeba, choć zabierają czas i energię młoczarzowi, który „wstrzymał słońce — ruszył ziemię”.

Przeciw sobie ma Mikołaj urząd kościelny, którego jako kanonik winien lojalność i posłuszeństwo; ma przeciw sobie inkwizycję, anatym religijny, plot

„Rzeczą główną jest dochodzić prawdy...”

kę i donosicielstwo, piaski dowcip i blaizenadę. Roi się wokół niego od slugusów instytucji dysponującej wysoko zorganizowanym aparatem terroru przeciwko ludziom wolnym w duchu. Ma również przeciw sobie pokusy postawy konformistycznej, rady przyjaciół, by zrezygnować w dziele „O obrotach” z tonu niezachwianej pewności, by nie denerwować ludzi gwałtownym odsłonięciem całej prawdy, lecz użyć taktyki przedstawienia teo-

rii w formie strawnej, w postaci hipotezy. Przeciw sobie ma wrzeszczące Mikołaja samego siebie, rozliczne subiekcje — twory krytycznego i pełnego wątpliwości umysłu: czy odsłonięcie ludziom prawdy o położeniu planetarnym Ziemi, odebranie prostaczkom nieba i wywołanie poczucia nieskończoności nie unieszczęśliwi rodzaju, któremu na imię „homo”? czy rzeczą słuszną jest wiedzieć czym jest Ziemia, czym ludzie, jeśli Ziemia jest, czym jest? Czy nie

jest rzeczą zbrodniczą dowodzić swoistego nieszczęścia?

Wśród tych pytań i wątpliwości rozstrzyga się dramat uczonego i człowieka. Nie pozbawione znamion tragizmu jest ostateczne zwycięstwo uczonego, zwycięstwo odwagi i nonkonformizmu naukowego, który głosi, że „rzeczą główną jest dochodzić prawdy”, że trzema „mówić śmiało o wielkości, strachu i całej reszcie...”, że ludzkość zasługuje na prawdę.

Nie ulega wątpliwości, że sztuka Broszkiewicza napisana jest współcześnie, tzn. w oparciu o doświadczenia intelektualne naszego wieku. Dlatego też skłania do refleksji i nikogo nie pozostawia obojętnym. To stanowi o jej powodzeniu. Przy tym wszystkim jest pomyślana w założeniu dramaturgicznym w sposób nowoczesny, zgodny z tendencjami współczesnego teatru awangardowego, który nie chce kłamać, że jest czymś więcej niż sztuką udawania.

Walory te podniosła inscenizacja w teatrze im. S. Jarczaka. Reżyser J. Ziemlińska zaufała znakomitemu tekstowij, nie kusząc się o zbyt liczne interpretatorstwo, przycięła go nieco do potrzeb dwugodzinnej z okładem spektaklu i — kierując się wskazów-

kami autora — utzymała w sposób konsekwentny stylistykę umowności teatralnej. W założeniu scenograficznym, sugerowanym przez autora, akcja winna odbywać się w przestrzeni architektonicznej kojarzącej się z obrazem gotyckiego kościoła. Tymczasem realizacja przyniosła rozwiązanie połowiczne. Układ architektoniczny wzniesiony przez scenografa (J. Zboromirski) nie przywołuje wyrazistych skojarzeń z kościołem. Brak pewnych istotnych szczegółów, które w zamierzeniu dramaturga miały pełnić istotną rolę w organizowaniu pożądanego aury wolnomyślności (np. kazalnicy). Inscenizacja jednak — co przyznać trzeba — i bez tego posiada należytą pikanterię. Zasięga w tym nie tylko owego renesansowo soczystego języka, lecz także aktorów grających bujnie i z zamaszystością. Dzięki temu komedia historyczna, jaką jest „Koniec księgi szóstej”, nabiera rumieńców i życiowej werwy, pożądanego dla uwypuklenia dramatu głównej osoby.

Rolę astronoma zagrał KAROL HRUBY. Określił tę postać dynamicznie, skupiając wysiłek na oddaniu wewnętrznego dramatu Mikołaja. Przedstawił zmęczenie sędziwego mistrza i jego wolę zmżenia własnych słabości. Energicznie zagrała reszta zespołu rozwijając całą gamę przepiękających

się i często kontrastujących ze sobą konwencji dramatycznych z przewagą żywiołu charakterystycznego. WANDA BAJEROWNA, przy użyciu najprostszycch środków aktorskich, bez naturalistycznego przeżywania i ckliwości melodramatycznej dobyła milczący tragizm Anny, kobiety dzielnej, rozumnej i z pewnością, po ludzku przywiązanej i kochającej. Z dużą finezją, choć może w sposób zbytino dostojny i zanadto jednomyślny odwrócił postać biskupa ROMAN SZMAR. Po raz pierwszy wystąpił przed cbiłską publicznością KRYSZTOF KURSA (Joachim Retyk), WARSZOSŁAW KMITA (Gnafeus), WACŁAW RYBCZYŃSKI (Piotowski), BARBARA DROGORÓB (żona złodzieja) i JANINA BOCHENSKA (siostra Beata). Bocheńska wywołała niezwykle silne wrażenie, dając w roli mniszki przykład aktorstwa nienaganego, zdyscyplinowanego i niezwykle sugestywnego. Jej epizod aktorski w akcie wybuchu histerii religijnej był popisem wysokiej klasy.

Spektakl był żywy i dynamiczny. Nie mógł teatr lepiej zainaugurować obchodów kopernikowskich. Szkoda, że nie do wszystkich widzów dotarły jego istotne walory. Z żenadą stuchało się w kuluarach utyskiwań dorosłych i czcigodnych obywateli grodu na rzekomu gorszące koncepcje tekstu literackiego. Dowód najlepszy, że teatr jeszcze zbyt słabo atakuje rozwielmożoną pruderię, że za często jest letni, że jeszcze nieraz przyjdzie mu się mierzyć ze zwolennikami „teorii moralnych” śp. o. Pirożyńskiego.

R. TOMCZYK



Na zdjęciu: K. Hruby (Doktor Mikołaj) i Krzysztof Kurs (Joachim Retyk) w jednej ze scen sztuki.